

# TYGODNIK SŁOWA POLSKIEGO

BEZPŁATNY DODATEK NIEDZIELNY DO „SŁOWA POLSKIEGO“ POSWIĘCONY NAUCZE LITERATURZE I SZTUCE  
POD REDAKCYĄ JANA KASPROWICZA.

ADAM ŁADA.

## FRAGMENT.

Tęsknoty żar niech nam zbuduje cichą  
Przystań, gdzie fala zasypia znużona,  
I nawet z trawką u wybrzeża lichą,  
Gdy się mocuje, to zda się w ramiona  
Bierze ją tylko miłosne nabożnie,  
Jej zieleń wątlą całując ostrożnie...  
Tęsknoty żar niechaj nam taką stworzy  
Przystań, gdzie dusze na ze w zapomnienie  
Utuli fala słodka nieskończenie —  
A mój się ból u Twoich stóp położy  
I w oczy Twoje zapatrzone wiernie,  
Zasłni jak miesiąc odbity w cysternie...  
Jak miesiąc zasłni i skarby rozpali  
Drzemiące w Tobie swem srebrnym łyskaniem —  
Wiurą Cię ludząc, że jak owi biali  
Słońce aniołowie, kiedy zmartwychwstaniem,  
Ze wzgardą patrząc na tę ziemię biedną:  
Dwie dusze wolne zespolone w jedną..  
Fletnie niech grają przyciszzone piana,  
Niech nam oliwki szumią nad głowami  
— Pustka dokoła i tylko my sami  
I woń upojna mognolii przywiana  
Oddechem morza, co jak pies w obroży  
Wyje w oddali — lecz nas już nie strwoży.

BROMISŁAWA OSTROWSKA.

## RUINY.

PANNIE MARYI OCHENKOWSKIEJ.  
WSPOMNIENIE Z DROHICZYNA.

Lipcowego południa polne zamyślenie,  
Powietrze szafirowe drgające spiekotą,  
Na polach żółciejące bujnych zbóż kiścienie  
I rubinów pachnących gorejące złoto.  
Od kwitnących koniczyń wiatry idą słodkie,  
W pszczylnych migotach brzęczą białe pasy gryki,  
Ślania się lanem szumnym kłosie żyta wiotkie  
Wśród bezustannej świerszczowej muzyki.  
Len rozesał zagony falą taką miękką,  
Gdy na nią blask słoneczny potokami pada,  
Niby włosów kobiecych falista kaskada  
Żywa, bujna, mdlejąca pod kochaną ręką.  
Zda się jakieś słoneczne płomieniste święto  
Twórczem weselem ziemię kwitnącą okala,  
Barwne przydroża dyszą tymianem i mięgą,  
Po łąkach się przelewa traw nagrzana fala.

A tam wysoko nad kwitnącą ziemią  
Białe ruiny cicho w blasku drzemią  
I niby żagle śnieżne i tęskniące  
Świecą wieżami zapatrzone w słońce.  
Odwieczny klasztor co się wali w gruz  
Cele na błękit ruiną ozwarte,  
Widma wdrzewione w pnie płaczących brzoź  
Nad mogiłami odprawują wartę,  
I cicha wielkość przeminionych dni  
Na rudych szczyrach i dziewannach śni,  
I głowy świętych stroi kurzów tęczę  
W chórze, gdzie echa jak organy jęczą.

W miesięczne noce pośród pustych cel  
Przemyka czasem lotnej szaty biel,  
I zapatrzone, zaświatowe twarze  
Płyną jak szereg snów — przez korytarze.  
Od grobów idzie długi mniszek sznur  
Na rozwalony pełen jęku chór,  
I szepeąc psalmów pokutnicze łkania  
Widnowem stadem w miesiącu się ślania.

Zamiast sklepienia noc gwiazdami siewna  
W mgieł księżycowych tonąca powodzi,  
A pod jej stropem widm psalmodya śpiewna  
Na starym chórze litanje zawodzi. —

Aż gdy na wieżach wczesny świt się kładzie,  
Mniszki, topniejąc w jego świetle bladem,  
Po sypkich stopniach płyną białem stadem  
Błądzić w klasztornym zapuszczonej sadzie.

Szukają kwiatów, które niegdys siały,  
Kwiatów więzionej dziewiczej tęsknoty,  
Róż gorejących od słońca spiekoty,  
Narcyków grzędę gwiazdzistej i białej...

Lecz w sadzie gęsto rozrosły się chwasty,  
Piołuny dzikie i bujne tymiany,  
Pospępnych ostów buja gąszcz koleczasty;  
Siwy chmiel pokrył sypiące się ściany;  
Dziewanna jeno rozkwieca się złota,  
A onych mniszek widziadła pokutno  
Próżno szukają stęsknione i smutne  
Śladów swojego na ziemi żywota.

Coraz zwiewniejszym cichszym idą krokiem,  
Aż we wstającym słońcu zwolna gasną...  
I znów w letniego dnia błękitność jasną  
Tylko dziewanny patrzą złotem okiem.

DR. JAN KARŁOWICZ.

## Cudowna moc słowa w pojęciach pierwotnych.

(Odczyt wygłoszony w szeregu uniwersyteckich wykładów powszechnych w lwowskiej sali ratuszowej w d. 5. listopada r. b.).

(I.) Poglądy ludzi przeddziewotych znacznie się różniły od dzisiejszych. Bywały tak czasami od naszych odmiennie, że się wydają obecnie niezrozumiałymi i nieprawdopodobnymi; potrzeba nieraz wiele zastanowienia, dochodzeń i porównań, aby je pojąć. Lecz na ogół nie są tak odrębnymi, iżbyśmy je za coś obcego, za coś nieludzkiego mieli pożytywać; owszem, mając pewną wprawę w rozplątywaniu zawitych dróg myślenia pierwotnego, dochodzimy prawie zawsze do odnalezienia słowa zagadki. Co więcej, po pewnym zastanowieniu, spostrzegamy, że dzisiaj jeszcze w nasze pojęcia, zwyczaje i zasady wpłata się mnóstwo nici przedhistorycznych; przekonywamy się, że, nie wiedząc o tem, wykonywamy mnóstwo skojarzeń myślowych i czynów, dających się wytłumaczyć jedynie drogą porównań z epoką przeddziewotą. Stosuje się to głównie do warstw mniej oświeconych każdego narodu, a jeszcze bardziej do żyjących plemion nawpół dzikich i dzikich: tam światopogląd pierwotny kwitnie dziś jeszcze w całej pełni.

Badanie świata przedhistorycznego, zwłaszcza ze strony jego duchowej, mało jest jeszcze popularne; ciekawa ta gałąź wiedzy nie stała się jeszcze potrzebą ogółu; na uniwersytetach niema katedr tej nauki, nie posiada ona jeszcze nawet nazwy własnej. Archeologia, mitologia wchodzi w skład jej, częściej bywają uprawiane, ale nie wyczerpują jej treści. Może „oywilizacja pierwotna“ najwłaściwszym była dla niej mianem; jest też nieco prac, ten tytuł noszących, ale powszechność mało się niemi zajmuje.

A szkoda, bo w tej gałęzi nauk kryją się początki, pierwoociny, zarodki wszystkich innych. Prawnik nie zrozumie np. znaczenia rodziny, własności, władzy, prawa karnego i cywilnego bez zaznajomienia się z matriarchatem, kuwadą, zadrugą, zwyczajem, zwanym „tabu“, wróżdą (wendettą) i mnóstwem innych obyczajów i obrzędów prawnych, sięgających w najgłębszą starożytność. Mitolog klasyczny nie potrafi wytłumaczyć sobie ani roli, ani czynów istot, np. Parnasu greckiego, bez zapuszczenia się w porównania z wierzeniami ludów, które dzisiaj jeszcze żyją żywotem przedhistorycznym. Psycholog nie zda sobie jasno sprawy z ruchów i splotów myśli, jeżeli nie pozna dobrze duszy człowieka pierwotnego, którego logika tem się głównie odznaczała, że brała znamiona powierzchowne i przypadkowe za zasadnicze i według tego łańcuchy myślowe kojarzył. Że w okresie przedhistorycznym szukać należy wątków sztuki dzisiejszej, to już obecnie rozumiano i badania w tym kierunku znacznie posunięto. Już też i językoznawcy przekonali się, że nie pojną należyćie budowy języków ueywilizowanych bez zaznajomienia się z mowami dzikich, zwłaszcza, gdy chodzi o zagadnienia ze składni i znaczeni (semazyologii).

Pierwoociny każdej gałęzi wiedzy leżą w pomroce prehistorji; ale nie będą dalej tezy tej rozwijał, bo rzecz to oczywista, że poznanie źródeł i kollebki niezbędne jest do zbadania biegu wszech rze-

czy. Poprę je jednym tylko dowodem, wziętym z własnych dziejów naszych.

Wspomniałem już o wróżdzie. Mało kto wie, co ten wyraz znaczy, a jednak sprawa, którą wyraża, odgrywała potężną rolę w dziejach naszych aż do początków XVI wieku. Obyczaj wendetty, czyli pomsty krwawej, zwanej u nas dawniej wróżdą, istniał niegdyś u wszystkich narodów, kiedy prawa nie wystarczały do uśmierzenia zająś rodowych i kiedy obyczaj powierzał wykonywanie ich nie sądom krajowym, lecz jednostkom. Istniał on i u nas i wypelniał sobą dzieje wewnętrzne w postaci mniejszych lub większych zwad i zajazdów; kroniki nasze pełne są szczegółów tych zająś codziennych, a zapiski sądowe dostarczyły możności utworzenia zupełnego obrazu nadzwyczaj ciekawego tego rysu żywota przodków naszych (Hube, Pawiński, Miklosich, Ciszewski i in.). Wielki poeta nasz nazwał „ostatnim“ opisany przez siebie zajazd na Litwie; odbył się on na początku ubiegłego stulecia, a więc stosunkowo niedawno; znikając, pozostawił w spadku pojedynki, które długo może jeszcze spokój społeczeństwa zakłócać będą. Początku wszakże i upowodowania logicznego tak pojedynku, jak wróżdy szukać należy w dobie przeddziewotwej i tylko z właściwego jej ustroju społecznego wytłumaczyć można przyczynę i naturę obu tych obyczajów prawa przeddziewotwego, które niby klinem wsunęły się aż po dni nasze.

Przeżytków takich możnaby wyliczyć mnóstwo: roją się one w języku, w obyczajach i zwyczajach, w pojęciach, praktykach i w szczegółach życia powszedniego; pasmo żywota naszego mięści w sobie mnóstwo włókien niezmiernie dawno utkanych; ale te chowają się tak misternie, tak się maskują, że tylko wprawne oko badacza odróżnia tkankę wzo-rajszą od dzisiejszej.

W obecnej pogadance naszej zastanowimy się nad jednym tylko rysem świata pierwotnego; przekonamy się, że i on nie zaginął i że mniej lub więcej utajony przegląda ze słów i z czynów naszych i to nie tylko w warstwach mniej oświeconych.

Zastanowimy się tedy nad mocą magiczną, przypisywaną wyrazom. Słowa „skrzydlate“, jak je nazywali Grecy, dzisiaj naprawdę są lotnemi i mówimy je często „na wiat“, powtarzając za Rzymianem, że tylko „scripta manent“. Ale człowiek pierwotny i chłop nasz dzisiaj jeszcze inaczej o tem myśli: „Dawni tak było, że jak matka albo ociec powiedzieli dziecku: — Ty kóniu, ty kobyło, psie, kocie itp., to mu sie tak stało“; temi słowy zaczyna się bajka kujawska o macosze, która mocą słów swoich zamieniła w klacz pasierbieę. — „Dawno kiedy jeden drugiemu mówił: „Zebyś przepadł“, tedy to się zaraz tak stawało“, mówią Kaszubi nasi, a jak matka powiedziała na dziecko: „zebyś skamieniało“, to i skamieniało, prawi bajka od Dobrzyńia.

Przytoczenia te, wyjęte z ust ludu naszego, malują dostatecznie pierwotny pogląd na potęgę słowa i dają dokładne określenie wybranemu przeze mnie tematowi. Słowo miało w głębokiej starożytności znaczenie magiczne, potężne. Słowem „stań się!“ Bóg stworzył świat, według pojęć biblijnych, bo „na początku było słowo, a słowo było u Boga“, mówi obznajomiony z teorią „logosu“ greckiego ewangelista.

Nasuwa się samo przez się pytanie, skąd powstała ta wiara w potęgę słowa?

Kiedy człowiek pierwotny dostrzegł, że na wykonanie woli jego przez łabszą od niego jednostkę wystarcza rozkaz słowny; kiedy zauważył, że „człowiek leśny“ (orang utan) we wszystkim jest doń podobny, tylko mowy nie posiada; kiedy dostrzegając, jak zwykle, niełokładnie, a wnioskująco, jak zawsze pośpiesznie, zauważył, że w pewnych razach „niema twarz“ („twarz“ znaczy po staropolsku „twór“, „stworzenie“); albo nawet przedmiot bezduszny uległ jego woli, wyrażonej zaklęciem, czy zamawianiem — wówczas zapewne uwierzył, że w pewnych razach słowo ma moc nieprzepartą; w pewnych razach, powiadam, bo ograniczenie to przetrwało po dziś dzień w wierzeniach ludu naszego, iż słowo ma potęgę magiczną wtedy tylko, gdy jest wymówione z zachowaniem pewnych warunków, gdy wychodzi z ust pewnych jednostek (rodziców, znachorów) i w pewnych chwilach, które się nazywają „złą godziną“, jeżeli chodzi o przekleństwo.

W zastosowaniu do życia ludzi pierwotnych wiara w czarodziejską potęgę słowa znalazła bardzo rozmaite zastosowanie. Używano tej mocy albo na dobre, albo na złe; w pierwszym razie występowały błogosławieństwa, dobre życzenia, zamawiania chorób itp. formuły, skierowane ku wyrażeniu i zapewnieniu najlepszych skutków ich działania; w drugim ukazywały się klątwy, zaklęcia, przekleństwa, zmierzające ku szkodzie i zgubie czyjejs; były wreszcie też formuły pośrednie, obojętne, nakazujące, zabezpieczające itp.

Zatrzymamy się nasamprzód nad błogosławieniem. Przeczytajmy, jako przykład, słowa Izaaka, któremi błogosławił Jakuba, ucałowawszy go wprzód i złożywszy; wedle zwyczaju, ręce na jego głowie:

„Niechajże da Bóg z rosy niebieskiej i z tłustości ziemskiej i obfitość zboża i obfitość wina. Niechaj ci służą ludzie, a niech ci się kłaniają narodowie. Bądź panem braćmi twoich, a niech ci się kłaniają synowie matki twojej. Którzyby cię przeklinali, niech będą przeklętymi, a którzyby cię błogosławili, niech będą błogosławionymi“.

Wiadomo, jaką wagę przypisywano i jaką dziś jeszcze większość ludzi przywiązuje do błogosławieństwa rodziców; dzisiaj nie wyraża się ono w pewnych ustalonych zwyczajach słowach i przy pewnych sakramentalnych ruchach ciała; bo też wszelkie życzenia, niegdyś pełne tajemniczej potęgi, dzisiaj zredukowały się do frazesów konwencyjonalnych; nie zginęły one jednak i nie prędko zapewne pójdą w niepamięć, tkwiąc wśród czasów naszych jako zabytki głębokiej, przedziejowej starożytności. Powtarzamy jeszcze i długo powtarzać będziemy: „Dzień dobry!“ „Dobranoc!“ „Na zdrowie!“ „Bóg zapłać!“ „Daj, Boże!“ „Panie Boże, dopomóż!“ itp. Stary woźnica nawet koniom parskającym mówi „Na zdrowie!“ Winszujemy świąt, imienin, urodzin itd., a przy tem nie tylko wyrażamy radość z doświadczenia dnia tego, ale formułujemy życzenia zdrowia, pomyślności itd. Czy wierzymy w skuteczność tych życzeń? Zdaje się, że wcale o tem nie myślimy; fakt jednak, że je wyrażamy, jest świadectwem odwiecznej w tę skuteczność wiary, bo inaczej nie powtarzalibyśmy utartych zwyczajem formułek. Podobnie, gdyby chłop nasz nie wierzył w skuteczność odmawiania pewnych zwyczajowych życzeń, toby nie mówił, sadząc kartofle i inne rośliny: „Panie Boże, zarodźże tyz w dziesięcioro!“ a Rusin, kwasząc kapustę, nie emokalby ustami i nie

przymawiał: „Ach, jakoje dobroje, sołodkoje, kwas jak wyno, jak wyno!“, w głębokim przekonaniu, że słowami temi podniesie smak kapusty.

Człowiek pierwotny i niekulturalny dzisiejszy jest formalistą: przywiązuje do pewnych formuł i form wielką wagę; chłop nasz cieszy się „dobrem słowem“, a martwi się i daje to nawet poczuć, jeżeli ktoś, widząc go przy pracy, nie da mu „boskiego słowa“. Formalistyka prowadzi do tego, że w obrzędzie lub w słowach obrzędowych zatracca się poczucie i świadomość treści, a tylko samą formą, samą manipulacją zastępuje pierwotną myśl ożywą. Przypomnijmy sobie na dowód jak już Jakób biblijny i matka jego zapatrywali się na akt błogosławieństwa, skoro się odważyli podstępnie je zdobyć; tak samo myślał i ślepy Izaak, bo odmówił starszemu synowi, gdy się ten słusnie dopominał prawa swojego: błogosławieństwo odbyło się formalnie, więc było już po wszystkim. (Dok. nast.).

MARYA RYGIER.

## Z współczesnej literatury włoskiej.

(I.) Wśród współczesnych pisarzy włoskich, prawie wyłącznie znani są w Polsce d'Anunzio, Fogazaro, Ada Negri, częściowo de Amicis, ale i ten nie zupełnie. A jednak, oprócz tych kilku znakomitości, literatura włoska ma cały szereg dzielnych pracowników, którzy czy to na polu powieści, czy też poezji, czy wreszcie dramatu, zyskali sobie zasłużony rozgłos w kraju i zagranicą. O nich to chcę pomówić w niniejszym artykule. Z powieściopisarzy najwybitniejsi są: Capuana, Verga, Serao i Neera; następuje plejada najmłodszych, urodzonych około 70 roku, która także liczy już kilka nazwisk wyrobionych, jak Ojetti, Zuccoli, Giorgieri, Contri i t. d.

Zacznijmy od Capuana i Vergi, ostatnich przedstawicieli realizmu. Obaj Sycylianie i obaj wysnuwają znaczną część swoich utworów z życia sycylijskiego. Luigi Capuana jest powieściopisarzem, poetą, i krytykiem. Najbardziej jednak cenią go jako powieściopisarza. W tym rodzaju stworzył rzeczy prawdziwie piękne i trwałe. Nowele jego, skreślone na tle obyczajów i ludzi jego wyspy, odznaczają się wielką malowniczością, głębokim odczuciem przyrody, trafnem podpatrzeniem charakterów, wreszcie barwnym stylem i zajmującym założeniem. W powieściach jego odnajdujemy te same zalety, tylko na większą skalę. Niedawno napisał powieść pod tytułem: „Il Marchese della Rocca Verdina“, która zyskała ogólne uznanie. Część powieści jest wstrząsająca i oddana została z siłą i prawdą. Markiz della Rocca Verdina kocha się w młodej ehtopce, która kilka lat spędza pod jego dachem. Rodzina jego, zaniepokojona tą miłością i obawiając się, aby rozkończony markiz nie chciał poślubić ubogiej i prostej dziewczyny, skłania go do oddalenia kochanki. Przystaje on wreszcie na próby krewnych, i aby tem bardziej ich uspokoić, wydaje zażamę oddaną mu kobietę za wernego i wypróbowanego sługę, którego obdarza posagiem i miejscem rządcy w swych dobrach. Kładzie jednak jeden warunek, a mianowicie ten, aby małżeństwo było tylko pozorne, i żąda na to przysięgi



od młodej pary, która mu ją składa. Stan ten trwa nie długo, gdyż zazdrosny markiz, posadzając męża kochanki o złamanie przysięgi, zabija go w skrytobójczy sposób. Pozory zbrodni zwracają się przeciw jednemu wieśniakowi, który niedawno przed zabójstwem wygrażał się na rządzących, ponieważ ten bałamucał mu żonę. Sąd skazuje niewinnego, a markiz, który nie mało przyczynił się do niesprawiedliwego wyroku, dręczony wyrzutami sumienia, szuka naprzemian ulgi w niedowiarstwie i w bigoteryi, potem w gorączkowym rzuceniu się w wir interesów i polityki, wreszcie w małżeństwie z niemłodą już panną, którą niegdyś kochał i która zawsze żywiła dla niego gorące uczucie. W niczem nie znajduje ukojenia, aż w końcu, w napadzie obłąkania, przyznaje się do winy, i wkrótce po tem umiera.

Giovanni Verga jest pisarzem bardziej ludowym. Z młodu hołdował zasadom romantyzmu, ale wkrótce się im sprzeniewierzył, aby przerwąć się w skrajny realizm. Tematy do swych utworów czerpie z życia chłopów sycylijskich, posługuje się często ich gwara, i nawet w części opisowej, gdy się zwraca bezpośrednio do czytelników, czuć w jego sposobie pisania zwroty i wyrażenia miejscowe. Oprócz powieści, napisał doskonały dramat p. t.: „Cavalleria Rusticana“, który, przerobiony na libretto, przyczynił się nie mało do powodzenia sławnej opery Mascagni'ego: „Rycerskość wieśniacza“. Verga jest bardzo plastyczny w przedstawianiu namiętności i uczuć ludu sycylijskiego, zwięzły, dobitny, czasem szorstki, napełnia swe utwory mnóstwem zdarzeń, silnie i interesująco skreślonych. Znajduje też naśladowców. Jednym z nich jest Federico de Roberto. Ale ten, jako pisarz młody i skłaniający się ku modernizmowi, nie we wszystkim jest podobny do swego mistrza. Sycylianin tak samo, jak i on, przypomina Vergę w powieściach, rozwijających się na tle rodzinnym autora. Taką jest jego powieść historyczna „Il Vicerè“, w której odtworza towarzystwo arystokratyczne Sycylii. Mniej jednak jednostronny od Vergi, umie także zagłębiać się w zadki psychologiczne ogólnoludzkie, i wtedy staje się filozoficznym, drobiazgowym w odnajdywaniu przyczyn podmiotowych danego uczynku, oryginalnym w pojęciach, które wygłasza, subtelnym i spostrzegawczym. Dwie jego powieści dają tego najlepszy dowód. Są to: „L'Amore“ i „Lo Spasimo“. W pierwszej z nich najbardziej wykończony, rozbiera z wielkim talentem początek, rozwój i skutki miłości, wykazując jej niezbedność i nieszczęścia, które tak często jej towarzyszą. Dwie kobiety zajmują pierwszorzędne stanowisko w powieściopisarstwie włoskiem. Są nimi: Serao i Nerra.

Matylda Serao jest neapolitanką, to też w jej powieściach czuć temperament i żywość południowców. Charakterystycznym w jej twórczości jest ten szczegół, że będąc nadzwyczaj energiczną i przedmiotową w dłuższych utworach, w nowelach staje się sentymentalną, tkliwą, ozmarzoną, okazując cechy czysto kobiece. Co dziwniejsza, nowelki te powstają w różnych epokach, następują często po powieściach, pisanych z rozmachem prawdziwie męskim. I tak naprzykład, najnowsze jej „Novelle sentimentali“ były poprzedzone powieścią, tętnącą pełnią życia i ruchu, w której osoby działające uwypuklały się z mistrzostwem zadziwiającem, w której nawet najmniejsze zdarzenia nabierały kolorytu i wyrazistości. Ta powieścią jest „Suor Giovanna della Croce“. Serao

celuje w owych krótkich i jednych opisach, które urozmaica tło swych powieści, nie wdaje się w szczegółową analizę psychologiczną, charaktery bardziej zaznacza, aniżeli maluje, ale jest zawsze i wszędzie prawdziwą.

Głębszą od niej, lecz i mniej rozmaistą, jest Anna Zuccaro Radius, znana ogólnie pod pseudonimem Neery i sławna nie tylko we Włoszech, ale także w Anglii i we Francji. Pisarka ta lubuje się w rozbieraniu duszy kobiecej. Dochodzi w tym względzie do wielkiej subtelnosci. Postacie męskie usuwają się w jej powieściach na drugi plan, występują same bohaterki. Należą one wszystkie do jednej wielkiej rodziny: do kobiet pokrzywdzonych przez obecny ustrój społeczny. I tak, pokrzywdzoną jest Marta w „L'indomani“, kiedy pełna ufności i pragnienia życia, młoda i naiwna, oddaje się człowiekowi przeżytemu, który w małżeństwie z nią szuka tylko spokoju i wypoczynku i nie urzeczywistni nigdy jej marzeń o miłości. Neera ma szczególne upodobanie do starych panien, które otacza aureolą bólu i krzywdy doznanej. „Dlaczego“, pyta, „mamy zawsze wyśmiewać te biedne ofiary cywilizacji?“. W jej powieściach znajdujemy kilka wybornych typów starych panien, skreślonych z zupełnem uwzględnieniem ich indywidualności. Każda inaczej sobie urządza życie. Jedne szukają ukojenia w poświęcaniu się dla szczęścia bliźnich, inne się buntują przeciwko losowi, inne wreszcie pozostają bierne i wloką w smutku szare pasmo swych dni. Dwie postacie udały się szczególnie autorce: Teresa i Lydia. Teresa jest córką niezamożnych mieszczan i starzeje się w niedostatku, znosząc cierpliwie swe położenie. Jest kochaną i kocha, ale liczne przeszkody stają w poprzek małżeństwu. Jednakże, szczęśliwsza od innych, nie schodzi do grobu z zawiedzioną nadzieją i, choć późno, łączy się z ukochanym. Lydia należy do wyższych sfer towarzyskich. Płocha i ekscentryczna, zraża do siebie mężczyzn swymi wybrykami. Dopiero kiedy się trochę podstarzała, znajduje konkurentów, ale takich, których jej wrodzony rozum nie pozwala przyjmować, gdyż są to ludzie z nadszarpanem zdrowiem i majątkiem, pragnący jej posagu, a nie jej samej. Na szczęście serce jej nie pozostaje objętym. Spotyka bardzo wyrafinowanego oszusta w osobie pewnego Węgra, w którym się rozkochuje i oddaje mu rękę. Dopiero po ślubie spostrzega swą pomyłkę i jednym wystrzałem z rewolweru kończy życie. Powieści Neery są wiernem odbiciem rzeczywistości i jako takie mają prawie zawsze smutne zakończenie. Opromienia je tylko jakaś łagodna pobłażliwość na błędy ludzkie, jakiś wdzięk, istnie kobiecej i upatrywanie w ludziach stron dobrych, w przeciwstawieniu ze złem, które często je zwycięża, ale nigdy nie zagłusza. Neera nie lubi opisywać wielkich miast, powiada, że na prowincyi znajduje się daleko więcej oryginalności, więcej charakterów odmiennych i niepowszednich, gdy tymczasem w dużych miastach wszystko się zaciera przez ciągłe zetknięcia i ludzie przybierają wygląd nieznośnie jednostajny.

(C. d. n.)

BENEDYKT ELMER.

## Przesilenie we współczesnej psychologii.

Rozwój wszelkiej nauki dokonywa się po wypadkowej z pracy przygotowawczej, nagromadzonej wiekami w formie gotowych sądów, uogólnień, metod, jak i osobistej, umysłowej energii nowo przystępującego individuum, które do danego otoczenia (świata) stara się biologicznie przystosować. Najważniejszą częścią procesu przystosowania jest zdobyćcie możliwie wiernych kopij otoczenia, które ustawicznie stosowane wyrabiają przez ćwiczenie pewność orientacyjną, mechanizują stopniowo niektóre strony stosunku individuum do otoczenia i zbliżają przez to energię życiową do maximum zachowania. To biologicznie tak doniosłe kopiowanie rzeczywistości jest czynnością bardzo skomplikowaną.

Mocą zasady najmniejszego wydatku sił odbywają się funkcje psychiczne z możliwą ciągłością asocjacji, t. j. kojarzą się fakty nowe, nieznanne z wyobrażeniami znanymi, utrwalonymi, mającymi wybitny charakter pewności i istnienia. Jeżeli uprzytomnimy sobie nieodłączny od wszelkiej duchowej spuścizny balast przesądów, fałszywie grupowanych i naciąganych faktów, teorii, przekutych z wartości względnych na absolutne, jak i hipotez, które, mając chwilowo znaczenie jasno określonych pytań, z czasem stają się złudnym, niedościgłym fantomem — jeżeli zważymy łatwość i pewność operowania tym tylekrotnie wpajającym aparatem — wówczas nie powinna wcale nas dziwić powolność i chwiejność każdej nauki młodej, stawiającej dopiero pierwsze kroki. Spostrzeżenie to nabiera dobitnego znaczenia, zwłaszcza w odniesieniu do nauk jeszcze nie zupełnie usamowolnionych, prowadzonych na pasku pojęć i metod nauki macierzystej. Będziemy mieli sposobność poniżej skonstatować na konkretnym przykładzie, jak fatalną rolę odegrać mogą niektóre zakorzenione poglądy. Już samo zorientowanie się co do ich niebezpieczeństwa uważać można za czyn doniosły i płodny w następstwa.

Taką dyagnozę dla psychologii przeprowadził Rudolf Willy w swej książce „Krisis in der Psychologie“ i trzeba przyznać, że udało mu się wniknąć w skomplikowany aparat ukrytych sprężyn, decydujących o rozwoju (a raczej wywołujących zastój) we wspomnianej dziedzinie.

Przesilenie, które przechodzi obecnie psychologia, jest natury metafizycznej lub metodologicznej. Najczęściej łączą się obie te cechy w historycznie nierozdzielne splecenie. Wypływa to wprost z warunków jej rozwoju. Stanowiąc niegdyś integralną część filozofii, zdobywała psychologia znaczną część swych praw drogą dedukcji lub przynajmniej przystosowywała swe wyniki do ram danego systematu. W każdym razie posługiwała się metodami o charakterystycznym zabarwieniu, cechującym pewien poszczególny światopogląd. Klasycznym przykładem tego ujemnego oddziaływania jest estetyczne wyznaczenie wiary Schopenhauera, streszczające się w tem, iż sztuka jest najsubtelniejszym środkiem zaprzeczenia woli. Nietzsche zaś staje na wręcz odmiennem stanowisku i widzi w sztuce — w duchu swej wszechwładnej zasady: *Wille zur Macht* — najwyższe potwierdzenie.

I jest to objaw zupełnie naturalny, prawie, że

konieczny. „Prawdom“ metafizycznym może nie odpowiadać żadna obiektywna rzeczywistość, nie mniej jednak są one ogniwami łańcucha wyobrażeń i jako takie wywierają na umysłowe skojarzenia daleko sięgający wpływ. Ponieważ uczucie „prawdy“ (pewności orientacyjnej) jest wartością bezwarunkowo potrzebną w biologicznej mechanice umysłu, przeto napięcie i wyteżenie psychiczne, nie uwiecznione czystymi kopiami rzeczywistości, szuka zaspokojenia w niektórych ogólnych kategoriach (materyi, duszy, Nieświadomości, Woli etc.), sprowadzając do nich jako pojęć niezmiennych, niezależnych, znanych, fakty obecne, tajemnicze, niewytłomaczone, nieznanne. Tem się tłumaczy owa bezsprzecznie u wielu, zbyt wielu istniejąca „potrzeba metafizyki“, która niejednokrotnie przechodzi w „mistycyzm“, zwłaszcza, gdy jej towarzyszy niechęć do skoncentrowania energii w celach pracy.

Nowocześni psychologowie wiedzą wprawdzie, iż psychologia ma być samodzielną nauką o własnym zakresie i odpowiednich metodach, zastosowanych do jej przedmiotu. Zdradzają jednak po największej części w samej już definicyi swe przygotowanie metafizyczne, które psychologii nie wychodzi na dobre. Spirytualizm (Wundt, Rehmkę, Ebbinghaus, Jodl), scholastycyzm (Brentano), w parze ze spekulacją nad subjektem i objektem w zamaskowanej postaci psychofizycznego paralelizmu stanowią ramy ogólniejsze, których rozsadzenie byłoby pierwszym negatywnym warunkiem normalnego rozwoju. Wiąże się z nimi długi szereg specjalnych zagadnień, których forma i rozwiązywanie świadczą wyraźnie o powszechnej dezorientacji w psychologii.

I osławiona ścisłość badania psychofizycznego ma wyłącznie doniosłość ograniczoną, w niejednym nawet względzie problematyczną, zwłaszcza, że „znaczenie liczby w psychologii nie jest wcale ściśle pojęciowe, lecz tylko symboliczne i pozostaje na usługach poglądu“. Nie mniej nieproduktywną jest skłonność stawiania dość chwiejnych i bezpodstawnych hipotez wślad za naukami przyrodniczymi, gdzie to postępowanie jest w daleko wyższej mierze uprawnione. Albowiem sprawdzenie czyli weryfikacja faktów jest w tej dziedzinie zadaniem daleko łatwiejszem, niż w psychologii. Gdzie eksperyment jest zawsze tylko *pium desiderium*, — tam wszelkie hipotezy — o ile nie wyrosły bezpośrednio z bardzo bogatego materiału konkretnych spostrzeżeń — będą tylko jednym z powodów coraz większego zamieszania. W rezultacie dochodzi więc Willy do wniosku: „zasadnicza różnica między psychologią a naukami przyrodniczymi polega na tem, iż psychologia bardziej zdana jest na pogłębienie (Anschauung) i przedstawienie konkretne a mniej na ścisłą analizę i pojęcia ogólne“.

Pouczającym przykładem bezpłodności owej mikroskopijnej, analitycznej wiwisekii jest według Willy'ego elementarna estetyka Jodla. Wychodzi ona i opiera się na podwójnym spostrzeżeniu: z jednej strony ujmujemy intuitywnie pewne wrażenia zmysłowe, którym towarzyszą znowu uczucia natury estetycznej, z drugiej zaś odmówić niepodobna tym uczuciom natury czysto zmysłowej, ponieważ pojawiają się one nie „w towarzystwie myśli i asocjacji, lecz tylko w związku ze skombinowanymi jakościami zmysłowymi (Sinnesqualitäten)“. Na tej drodze dojdziemy do czegoś podobnego, jak mikroskopijna harmonia, symetria, proporcja i eurytmia! Ni!

względnia jednak ta estetyka elementarna innej grupy spostrzeżeń, polegających na tem, iż przeżywa się estetycznie szczegóły, który nasuwa asocjatywnie całość już częścię odczuta jako piękną. N. p. krótkie, jednozłonkowe następstwo tonów, samo przez się obojętne, wywołuje najsilniejsze wrażenia estetyczne, jeżeli tylko budzi asocjacje dalszych części znanej całości. Z tego samego względu — wchodzi tu w grę i inne motywy — zrywa się burza zachwyty już przy pierwszych kilku słowach wybitnego mowcy, deklamatora lub artysty.

Umyślnie użyliśmy tego przykładu natury specjalnej, żeby uwidocznic istotną metodologiczną różnicę zachodzącą między psychologią a naukami przyrodniczymi, różnicę, którą tak często zapoznawają psychologowie. Nie formułujemy jej jednak — jak powyżej Willy, gdyż przedstawienie konkretne nie zdołałoby objąć wszystkich faktów psychologicznych, ścisła zaś analiza i pojęcia ogólne są najbardziej ekonomicznymi środkami psychologii. Trudności i niebezpieczeństwo widzimy tylko w izolowaniu badanych zjawisk od individuum. Bo przeoczujać genetyczny związek, nietrudno się doszukać mnóstwa problematycznych praw w wyodrębnionej grupie.

Taka tendencja w kierunku stanowienia praw cechuje t. z. teoretyków asocjacyi (James, Walle). Powszechnie utarło się pojęcie praw, opisujących kojarzenie się wyobrażeń (na podstawie podobieństwa i styczności w czasie lub przestrzeni). Znaleźli się jednak tacy, co zamiarkowali, że w myśl tych praw właściwie wszystko o da się skojarzyć. Z wszelkich późniejszych wysiłków, sprecyzowania i zacieśnienia tych praw okazuje się tylko, że zachody tu daremne. Nie zaistnieją prawa dla pięknych oczu teoretycznych psychologów!

Podobnie ulubioną formułką, jak „teorya asocjacyjna“, jest paralelizm psychofizyczny. Zarówno „ściśli psychologowie jak i łatwowierni laicy przemycają z tajemną ulgą w tej formie materializm, pojęcie „historycznie załatwione“ lub wkładają w ten równoległy łańcuch zjawisk fizycznych i psychicznych ich „identyczność“ jako coś trzeciego. (Vide: Rehmkes allgemeine Psychologie des Seelen-individuums und Ding-individuums, die im Seelen-concreten als einem Individuum höherer Ordnung vereinigt sind. — Ogólna psychologia Rehmkego o individuum duchowym i rzeczowym, zjednoczonym w concretum duszy jako w individuum wyższego rzędu).

Wolna od naleciałości metafizycznych, czysto empirycznie pojęta zasada paralelizmu nie wie nie ani o „wzajemnem oddziaływaniu“ lub „wpływie ciała“ i „ducha“ ani o „możliwości „sprowadzenia“ zjawisk psychicznych do fizycznych. Nie potrzebujemy chyba dodawać, iż „dusza jako funkcyja mózgu“ należy do mytów w rodzaju narodzin Afrodyty z piany morskiej lub światła z ciemności. Można jedynie tylko skonstatować, iż t. z. psychiczne i fizyczne zjawiska istnieją niezależnie, jakkolwiek nierozłącznie. Można by więc również dobrze mówić o paralelizmie n. p. przestrzeni i barwy.

Próbę (z innych względów epokową) biomechanicznej teoryi życia, opartej na zasadzie psychofizycznej dał w „Krytyce czystego doświadczenia“ Ryszard Avenarius, idący zdaleka od ubitego gościńca prawowiernej psychologii. Jeśli jednak jego teorya miała utorować drogę przyszłemu, doskonałszemu poznaniu, — to można ją uważać za nieudaną.

Leży ona wprawdzie w granicach możliwości, dostępną nam jednak doświadczenie nigdy jej nie stwierdzi. Pozostanie ona tylko genialnym przykładem pojmowania życia w sposób mechaniczny — przy wyłączeniu czynnika psychicznego. Jest to jednak kwestya, która nas tu bliżej nie obchodzi.

## WSPÓŁCZESNE PRĄDY UMYSŁOWE I POLITYCZNE.\*)

(III.) Jeżeli w poprzednich rozdziałach, jak to podniosłem parokrotnie „przekonania“ p. Kulezyckiego nie pozwalają mu myśleć samodzielnie i rozwijać swych własnych sądów, na czym czytelnik źle wychodzi, tem więcej da się to powiedzieć o krytyce prądów, w których kwestye polityczne występują na plan pierwszy, a przekonania autora bezpośrednio w grę wchodzi. Artykuł p. t. „Patriotyzm i nacjonalizm“ zasługuje na pewną uwagę, nie ze względu jednak na oryginalność wyrażonych w nim poglądów, ale dlatego właśnie, że jest prostem echem przeciętnej opinii sfer t. zw. radykalnych. Radykalnych zresztą w rzeczach społecznych wyłącznie, gdy idzie bowiem o sprawy narodowe, opinia ta jest wybitnie konserwatywną i wlecze się na ogonie myśli współczesnej, hamując jej postęp, jest oportunistyczną, gdyż traktuje postulaty narodowe w sposób czysto utilitarny, nakoniec bezbarwną i bepcięciową, gdyż cały odpowiedni zakres życia narodowego pozostaje dla niej obcym, w najlepszym razie drugorzędnym w porównaniu z własnymi hasłami.

Pojęcie autora o patriotyzmie jest nieco oryginalne, wyprowadza on je nie z socjologicznych form bytu, jakimi są naród i społeczeństwo, ale z „niektórych faktów historycznych i współczesnych“. Faktami tymi są ruchy zewolucyjno-narodowe. Patriotyzm w tem oświeceniu zespala w sobie „dążenie do niezależności ojczyzny lub do połączenia jej w jedną całość“ z dążeniami „wolnomysłno-demokratycznymi“! Musimy stać wyprowadzić logiczny wniosek, że po za temi świątecznymi chwilami w życiu narodów, w czasach zwykłych i normalnych, obchodzą się one bez patriotyzmu, a już narody wolne nawiętnątrż i nazewnątrż, nie miały wprost co robić z uczuciem społecznem tego rodzaju. Dziwna rzecz, że w braku teoretycznych podstaw do oceny całej krzyżującej wadliwości tego założenia, nie uderzył autora przykład własnego narodu: przy olbrzymiem wyładowaniu patriotyzmu w walkach o wolność, nie zdołaliśmy tej wolności zdobyć, nie dla czego innego, tylko dla tego, że w okresach pomiędzy walkami, w życiu codziennem wykazywaliśmy dotąd zawsze niesłychany brak patriotyzmu, że nie był on w nas stałym cementem wewnętrznym narodu, ale wyłącznie uczuciowym bodźcem do walki o wolność i do jej przygotowań.

Pojęcie patriotyzmu u p. K. jest czysto negatywnem, jest zaprzeczeniem ucisku i niewoli, przeciwstawieniem się cudzym rządóm, reakcją przeciwko obcemu panowaniu i niczem więcej. Taki patriotyzm wypływać może z przekonań, a nie mieć żadnych korzeni w instynktach i uczuciowości narodu. Nie zwraca

\*) Ludwik Kulezycki „Współczesne prądy umysłowe i polityczne“, Szkice, Kraków, 1903.



się on woale ku własnemu społeczeństwu, nie jest głębokiem przywiązaniem do jego przeszłości i kultury, nie jest spójnią wewnętrzną jego części składowych, ani podstawą jego organizacji wewnętrznej, ani zaczątkiem jego indywidualności, ani pragnieniem jego siły i potęgi na zewnątrz. Z takim patryotyzmem, pozbawionym wszelkiego pozytywnego gruntu, nietylko żaden naród nie mógłby zdobyć niepodległości, ale gdyby ją nawet osiągnął przy obcej pomocy, nie byłby zdolny jej utrzymać.

Pan K. nazywa go „realnym“, dąży on bowiem „do ściśle określonych celów i środków walki“, widzi go u nas w okresie popowstaniowym do roku 1894 i utrzymuje zgodnie ze swem założeniem, że „musiał po pewnym czasie albo doprowadzić do wybuchu akcyj rewolucyjnej w zaborze rosyjskim, albo też jako taki zniknąć i przeobrazić się“. Ciekawe wyznaczenie! Czekal nas więc w Królestwie albo wybuch ruchu rewolucyjnego (!) oczywiście nieudany, albo przedzierzgnięcie się naszego patryotyzmu w nacjonalizm. Pominąwszy oaly bezsens podobnej alternatywy, wypływa z niej jasno, że dla autora patryotyzm jest tylko środkiem rewolucyjnym: nie ma rewolucyi, nie ma miejsca dla patryotyzmu. To też nacjonalizm, jako zwyrodniała jego forma „powstaje w swej czystej formie tam właśnie, gdzie rzeczywiste, realne potrzeby narodu są zaspokojone... Jest on dążeniem do opanowania innych żywiołów narodowych, narzucenia im swej kultury; jest prądem politycznym nie wolnościowym, lecz zaborczym, chcącym ugruntować panowanie jednego narodu, jednej kultury nad innym narodem, inną kulturą.“ Określenie to zaopatrzyła w swoim czasie „dziecinna“ według wyrażenia autora, Teką następującą uwagą: „Czy nacjonałiści francuscy, włoscy, polscy, czescy, irlandzcy wykazują jakiegokolwiek tendencye zaborcze, dążące do opanowania innych narodów, zgniecenia obcych kultur? Gdyby autor więcej wnikał w znaczenie tak lekceważonej przez siebie psychiki narodowej, wiedziałby, że nie w samym nacjonalizmie Prusaków, Węgrów lub pauslawistów Moskali należy szukać ich zaborczych zachcianek, lecz że zaborczość leży po prostu w ich charakterze narodowym“. Jeżeli zauważymy, że z określeń p. K. wynika wprost, iż ludzkość dzieli się na narody patryotyczne, broniące swej niezależności, i nacjonalistyczne, czyniące na nią zamachy, ocenimy z łatwością, czyje rozumowanie jest tu dziecinne.

Dla autora pozostać musi zjawiskiem niewytłomaczonym zjawienie się nacjonalizmu wśród społeczeństwa, walozącego o swój byt, jak nasze, składa go więc po prostu na karb zbroczenia. Możemy mu służyć wyjaśnieniem tak zawiłych dla niego zagadek. Patryotyzm jest uczuciem arodowem, nacjonalizm zaś jest narodową myślą. W państwie narodowym ten ostatni łączy się zwykle z państwową idea przewodnią, z tem, co nazywamy racją stanu, dając jej podstawę i punkt oparcia w samym społeczeństwie. Do walki odruchowej wystarczyć może uczucie patryotyczne, ale nie do przygotowania i zapewnienia sobie zwycięstwa, a tem mniej do kierowania świadomego losami kraju i do rządzenia sobą. Jeżeli nacjonalizm jako pojęcie jest stosunkowo świeższej daty, to dlatego, że i samowiedza narodowa urabiać się poczęła dopiero w połowie zeszłego stulecia. Nie zjawia się on, jak sądzi autor, w swej czystej formie wśród narodów wolnych, gdyż tam właśnie występuje zazwyczaj pod postacią polityki państwowej. W czystej swej formie

widzimy go właśnie u Czechów, u Irlandczyków, u nas nakoniec, słowem wszędzie, gdzie naród pozbawiony egzekutywy państwowej, w sobie czerpać musi całą siłę, nakreślać plany zbiorowego działania, organizować obronę, pracować nad zabezpieczeniem przyszłości. Nacjonalizm narodów podbitych może być „wstręśny i śmieszny“ tylko dla tego, kto zawarł całą swą myśl narodową w „przekonaniach“ partyjnych, komu konstytueya rosyjska zasłoniła polską.

(Dok. nast.)

## KSIĄŻKI.

(A. C.) Henryk Zbierzchowski: Przed wschodem słońca. Powieść. Nakładem księgarni H. Altenberga. Lwów 1903, str. 208.

Powiedział ktoś, że powieściopisarz wtedy jest poeta, gdy w mikrokosmie powieściowej swaj da nam odczuć drgania wiecznych, nieprzemijających pierwiastków bytu. Tę miarę najwyższą, a jedynie właściwą, gdy rozchodzi się o dzieło sztuki, trudno zapewne przykładać do debiutu powieściopisarskiego młodego autora — i z tego stanowiska wzięta „powieść“ p. Zbierzchowskiego uważana być może tylko za „opowiadanie“. Materiał panuje w niej jeszcze w zupełności nad twórcą. Powieść ta ostatecznie jest nawet bardzo „moralna“ i powinna w wielu zyskać aprobatę i sympatyę dla tak „uświadomionego“ młodego jej autora.. niestety, prócz tezy moralnej, w tej powieści przedstawionych postaci i faktów nie zspala ze sobą żaden łącznik wewnętrzny. Stoimy wobec kopii życia, czując, że sam autor, nie miał nam nie własnego do powiedzenia. Miał on natomiast widocznie pewien zapas nagromadzonych *in crudo* spostrzeżeń życiowych, o których sądził, że mają znaczenie same przez się i że odtworzenie ich da obraz duszy pokolenia, lub raczej, na szczęście, pewnej częsteczki tego pokolenia, złożonej według słów jednej z naczelných figur powieści — „z historycznych kobiet i geniuszów bez teki“. Czując się zaś pociągniętym przedewszystkiem stroną czysto zewnętrzną, dekoratywną tych spostrzeżeń, spodziewał się, że zapomocą wprowadzenia kontrastu natur dwóch męskich postaci głównych swej powieści, Sieniawskiego i Zmorskiego, a wreszcie końcowej sceny nastrojowej, nada ponadto całości pewne głębsze znaczenie symboliczne, w samym tytule już zresztą wyraźnie zaznaczone.

Tymczasem na razie siły nie dopisały i debiutu powieściopisarskiego p. Zbierzchowskiego, który już poprzednio w zbiorze zatytułowanym „Impresye“ zaprezentował się, jako ładny i woale obiecujący talent liryczny, za udany uważać nie można — rozpatrując jego powieść choćby tylko ze stanowiska samego rzemiosła. Przedewszystkiem postacie w „Przed wschodem słońca“ nie żyją, żadna z nich nie zarysowuje się plastycznie, a wszystkie, jako całość, są mniej lub więcej szablonowe, pomimo szczegółów i szczegółików nieraz, zdaje się, bezpośrednio z obserwacji notowanych. Wynika to z pewnego „lirycznego“ a nieszczerego ich traktowania, widocznego zwłaszcza w postaci Sieniawskiego, do którego autor, choć tak bardzo „uświadomiony“, żywi przecie szczególniejszą sympatyę, trudną doprawdy do zrozumienia wobec tego woli pozbawionego a wiecznie w tożę

artyzmu dziecinnie się drapującego erotomana, o którym wątpliwe należy, by mógł być dobrym dziennikarzem, choć autor zapewnia nas, że jest znakomitym muzykiem. Tak samo rzecz się ma z Emą, zwykłą choć wyrafinowaną kokotą, którą autor nadaremnie stara się otoczyć aureolą demoniczności. Charakterystyka Ireny wyczerpuje się prawie cała — w historii; najwięcej życia posiada jeszcze postać Zmorskiego, „kujona“ „o nieposzlakowanym charakterze i żelaznej energii“ — odbierającego sobie życie po śmierci przez Sieniawskiego zaniedbanej, a przez niego po ciechu ubóstwianej Ireny.

Postacie drugoplanowe są już zupełnie szablonami. Takiej rodziny p. p. Tabaczyńskich nie powstydziliby się ś. p. Bałucki, który także śmiało podpisałby mógł niejedną szczegółową powieść, jak np. opis wizyty pani Wicherkowskiej w redakcyi „Prądu“, imieniem Tabaczyńskiego i t. p.

Sama akcja powieści zbudowana jest wcale zgrabnie, prócz jednej grubszej usterki, za jaką uważam zbyt liczny i niejednorodny rozdział p. t. „Notatki Zmorskiego“, na którym psychologia postaci tej traci tylko, rozmazując się w konturach. Działał tutaj prawdopodobnie wpływ Żeromskiego, zresztą tylko czysto zewnętrzny, a widoczny i w kilku innych szczegółach o wyraźnym pochodzeniu... literackim. Najlepszą stroną powieści są opisy nastrojowe, nieraz udatne, często jednak, zwłaszcza w krajobrazach robiące wrażenie rzeczy nie bezpośrednio z natury, ale z pamięci w pracowni przerysowanych. Styl i język, wogóle poprawny, razi jednak często nieorganiczna mieszana sztucznej nieco poetyczności i pospolitej trywialności. Wogóle powieść p. Zbierzchowskiego stwierdza tylko talent... liryczny. Świadczy ona także o tak zwanej łatwości pisania, stąd obawa, że autor, zwłaszcza jeżeli książka jego znajdzie poezytność, gotów uleść pokusie systematycznego fabrykowania utworów, obliczonych już z góry na kompromis z gustami szerokich kół czytających. Wierzę jednak, że ustrzeże go od tego miłość dla sztuki, i że ona pozwoli mu znaleźć się w zupełności, choćby niekoniecznie na polu powieściopisarstwa.

## PISMA.

(D) „Lud“. Zeszyt IV. (Tom VIII) „Ludu“, organu Towarzystwa ludoznawczego, opuścił właśnie prasę. Pod względem treści jest on nadzwyczaj bogaty. I tak najpierw znajdujemy rozprawkę Piotra Miklavca ze Styryi pt. „Zwyczaj, zabawy i zabobony ludu słoweńskiego w południowej Styryi“.

Autor przedstawia nam obraz folklorystyki ludu słoweńskiego w Styryi; zaczyna od nowego roku, przechodzi znaczniejsze święta i związane z nimi obrzędy. W dalszym ciągu przedstawia autor zwyczaje i obyczaje Słoweńca od urodzenia aż do śmierci. W końcu rozprawki, która jest cennym przyczynkiem do życia Słoweńców w południowej Styryi, mówi autor o „drakonie, eziornikach, wilkołakach, skratach (kotach) itd. Zaznaczyć nam wypada, że co się tyczy tego ostatniego przedmiotu, to ważnym jest dzieło wydane przez Maticę słoweńską. Autorem tego dzieła, które nosi tytuł: Črtice

iz duševnežitka štajarskih Slovencev“ jest dr. Josip Pahjek.

Lilienthalowa Regina kreśli pogląd ludu żydowskiego na życie pozagrobowe i świat przyszły. Światopogląd ludu żydowskiego, na wskróś pierwotny, ztraca się w naszych czasach coraz bardziej; dlatego według słów autorki trzeba się spieszyć, aby, co się da, zachować od zapomnienia.

Jan Świętek w rozprawce pt. „Z nad Wisłoka“ podaje rysy etnograficzne ze wsi Białobrzegi, w powiecie łańcuckim. Jest to kontynuacja poprzedniej rozprawki tegoż autora, umieszczonej w III. zeszytce VIII. tomu.

Bronisław Gustawicz kreśli kilka szczegółów ludoznawczych i podaje kilkadziesiąt pieśni z powiatu bobreckiego; dotyczą się one wsi Dziewiętnik.

W. Badura przedstawia kilka przykładów naśladowania głosu zwierząt przez ludzi.

Na uwagę zasługuje rozprawka S. Matusiaka pt. „O Piaście“. Autor twierdzi, że niema najmniejszej wątpliwości, że Piast był, i że to nie przezwisko, lecz imię, które w całej rozciągłości brzmiało „Pieściśław“. Imię Piast powstało tedy przez skrócenie imienia „Pieściśław“.

Jan Fr. Magiera podaje przezwiska rymowane do imion, zebrane w Sułkowicach i Mogilanach. Przewiska te, które często słyszamy z ust wiejskich dzieci, przydać się mogą do przedstawienia rozwoju i tworzenia się rymotwórstwa ludowego.

Po „Opowiadaniu z Poniwieża“, które nadesłał Jan Witort, przytacza H. Windakiewiczowa kilkanaście pieśni ludowych (wraz z nutami) z Dobeżyc, miasteczka w powiecie wielickim.

Po tych kilkunastu rozprawkach następują rozbiory i sprawozdania przez St. Zdziarskiego, L. Młynka, S. Matusiaka, dra Z. Gargasa, Al. Medyńskiego, H. Ułaszyna i dra J. Leciejewskiego.

Tom VIII. (str. 445) poświęciło Towarzystwo ludoznawcze Maryi Konopnickiej i ofiarowało Jej w dniu 26. z. m. podczas uroczystego poranku w teatrze miejskim.

(pl.) Revue des deux mondes (15. września) podaje Lotiego barwny opis podróży po Indyach. Wspaniała przyroda, świątynie tajemnicze Wisznu, miasta opuszczone, dżunglami zarosłe. W Pondiszery widne jeszcze na murach ślady panowania francuskiego, ulica Dupleix, salony, jakby żywcem przeniesione z XVIII. wieku, dzieci hindusów mówiące po francusku, to wszystko wzrusza podróżnika i pisarza, skoro go wstrząsnęła wielkość dawnych Indyi a zabawił taniec bajadery. — Charles Benoist, dalszy ciąg gruntownego studjum o warunkach pracy w wielkim przemyśle francuskim. — Albert Sorel ukończył świetną rozprawę o jednym z najważniejszych momentów olbrzymiej epopei napoleońskiej o pokoju z Anglikami w Amiens. Rzecz ta stanowi niejako przedłużenie i zapewne część dalszego tomu kapitalnej pracy o Europie i rewolucyi francuskiej i zasługuje na obszerniejsze omówienie. — Ciąg dalszy Marquerittów „Les deux vies. — Adolf Prins „La tendance collectiviste“ w dzisiejszym ustroju społecznym A. Prinsa. W części zaś sprawozdawczej „Wyzewy“, rzecz o najnowszym w powieściopisarstwie niemieckim zjawisku o Frensonie i jego Jörn Uhlu.